

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 22 lutego 1845.

Rok szósty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; catorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nr. 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 8 lutego 1845.

Stroje damskie. Dnie postu jako dnie smutku, powinnyby być dla naszych niespracowanych modystek niejakiim wypoczynkiem; lecz one i teraz nie mają spokoju, bo lubo tańczące i głośnie ustały zabawy, ciche, nietańczące zastąpiły je herbaty, które niemniej dobornych i elegankich wymagają strojów, toteż po wszystkich pracowniach widzieć można mnóstwo ładnych, prawie galowych sukien, z których niektóre, to jest te które nas najwięcej zachwyciły wymienić tu nieomieszkujemy.

Suknia z axamitu różowego, z przodu otwarta; suknia pod spodem z białego atlasu: obydwie strony spodnicy wierzchniej połączone są z sobą atlasowemi różowemi wstążkami, które przy obu brzegach spodnicy kończą się fontaziem; stanik u tej sukni gładki, z ubraniem z różowej krepy, przez całą swą długość ubrany sprzączkami wysadzany pięknymi kamieniami; rękawy krótkie także krepy ubrane. Suknia z białej mory do której powinna być tunika z gładkiej krepy z przodu otwarta, trochę niżej kolan dochodząca, obszyta wkoło ponsowym jedwabnym szlaczkiem do którego dużo złota powinno być przydane; stanik gładki, mocno wycięty, z bertą na przodzie zaokrągloną i tak samo jak i tunika obszyta, zawój z ponsowego axamitu, z białem długim piórem spadającym aż na ramię. Suknia różowa atlasowa, której spodnica obszyta jest dołem dwoma rzędami karbowanych wstążek; tunika do niej z krepy koloru zielonego, podpięta z każdego boku bukietem z różnokolorowych stokrótek; stanik gładki, mocno wycięty, ubrany w koło gorsu zieloną karbowaną wstążką, tudzież bukietem podobnym jak przy tunice; rękawy krótkie, dwoma rzędami wstążek zielonych ubrane; we wło-

sach bukiet ze stokrótek. Dla młodych panienek najstosowniejszą jest suknia tarlatanowa z potrójną spodnicą, strojna w liście dębowe i fontazie ze wstążek; strój wprawdzie nie bogaty ale bardzo gustowny i dla młodego wieku przyzwoity.

Krepa gładka i gaza atlasowa czyli przezroczysta w siedmiokolorowe cienie niemniej są używane, rozumie się, spodnice wtedy powinny być podwójne lub potrójne i podpięte *à la pompadour* klamrami wysadzany kamieniami.

Długo zapomniany tiul w końcu odzyskał swoją dawną wziętość; suknie tiulowe są bardzo lubione; przystrajają je wstążkami, bukietem u spodnicy, albo girlandami z kwiatów alpejskich.

Stroje do codziennego wyjścia są: paletoty, płaszczyki axamitne, pod które biorą się rańtuchy *amazoniskie* sukienne lub axamitne, suknie wysoko zachodzące z mory, adamaszku, pekinu lub atlasu, wszystkoto czarnemi pospolicie obszywa się korunkami.

Z kapeluszków najwięcej noszą kapotki atlasowe axamitem ubierane, także kapotki axamitne w różne cienie, bukietem marabu przystrojone.

Stroje męskie. Opisałiśmy w poprzednich numerach wszystko cokolwiek z nowości w strojach męskich dostrzedz można było. Dotąd niezaszła żadna odmiana.

Rycina przedstawia: szlafroczek morowy z rabatkami z przodu axamitem ubrany, kapelusz z niestrzyżonego axamitu z piórem. Druga suknia jedwabna z podwójną spodnicą bufkami z tej samej materii ubrana, na głowie girlanda z kwiatów. Trzeci szlafroczek jedwabny axamitem obłożony, kapelusz jedwabny. Czwarty surdut zimowy. Piąty frak do strojnego ubrania.

POREKAWICZNE.

PRZÉZ

MARIĄ Z CH. P...

— Ten wazon tam postawię... a ten kryształowy kubek tutaj: nieprawdaż Teklusiu, że tak będzie lepiej?... mówiła pani G. do nadchodzącej służącej... te kwiaty gdy się odbiją w zwierciadle będą podwójną ozdobą. Im więcej kwiatów, tem pokój świeższy, tem piękniej ubrany. O, nie tak nie lubię, jak pełno kwiatów, pełno woni!.. A te śliczne drobnostki porozrzucać na pułeczce, na etażerze i na stoliku, jakże miłe dla oka robią wrażenie. Niewiedzieć co wyżej cenić, kryształ czy złoto... srebro czy porcelanę?... wszystko śliczne, świejące, zgrabne. Ach!... pieniędzy!... pieniędzy!... O bo niewierzysz moja Teklusi co te bagatele kosztują... Ja jeszcze mam ich tak mało... wszystkie moje sąsiadki pozakładały już prawie sklepy... aja... kiedy bo ten mój Wacław taki nudny... powiada, że i to co mam, już nadto; że to cacka dla dzieci, a tak dużo kosztują. Tak mnie tem gniewa!.. Wprawdzie dobry on dobry... ale ma czasem jakieś dawne, zastarzale zasady.

— Pan, czy to niema także swoich cacek?... A te fajki piankowe... bursztyny z muchami, przykrywki srebrne, jakieś tam zatyczki, przytyczki, zapalki, cygarniczki, puszki na tytoń, kapszuki... i bóg nie wie, jakie cudaki. Czy to także nie są same tylko cacka?... A co kosztują?... Panie święty... żeby to choć czystość i ozdoba w pokoju robiło... ale jak się pojeżdżają panowie, nakopę, nadymię, popiołu natrzęsą, to tak pokój wygląda jak pogorzelisko. Ma się pani czem bronić ma. Niech się pani uprze i przekona pana, że to wszystko co pani kupuje, przynosi ozdobę i pożytek w domu, a te fajczane rupiecie to tylko nieporządek i utrapienie. Pani jak postawi jedną z tych najpotrzebniejszych rzeczy na swoim miejscu... rzekła uśmiechając się filuternie Teklusia... to i rok stoi nietykana, chyba proch się z nich zetrze. A za panem noś, przenoś, aż drżą ręce. Oj! pamiętam ja dobrze... kiedy raz niebyło Michała w domu... te przekłętą piankową fajkę, com ją sflukła... jeszcze mi dziś od niej cybuch na plecach cięży!...

— Mądrze mówisz... moja ty filutko... tylko że mi zawsze ten cybuch na plecach przypominasz, a to już taka dawna historia. Czy ci się tylko znowu jaka chusteczka niepodobała u mnie?...

— Ta zielona proszę pani ładna... ale już przebrukana. Prawie dla służącej.

— No, weźże ją sobie... Masz słuszość, każdy rozsądny przyzna, że pianki daleko więcej kosztują,

a pokoje bruczą. Mówią... ale ty pewnie o tem nie słyszałaś... że Wenus; to jest bogini piękności wyszła z piany morskiej... wierutne kłamstwo, tak jak wszystkie bajki mitologiczne. Teraz z tej pianki nigdy nie innego niewychodzi, tylko szkaradny dym kopający, niezmiernie szkodliwy dla piękności. Niezawodnie pułkownikowa dla tego taka czarna, że jej mąż nadzwyczajnie wiele fajki pali, i to jeszcze przy niej.

— Proszę pani, i to doprawdy tak mówią że z fajki piankowej wyszła bogini... czy tylko nie jaka święta?... Może mi to dla tego tak drżą ręce kiedy piankę niesę?... Ah! na coż ja nieszczęsna tyle na fajki nagadała!... Może ja zgrzeszyłam?...

— Nie bój się, nie bój... rzekła śmiejąc się pani G... była to święta, taka sama jak i ty, lubili ją panowie tak jak i ciebie lubią i swoje pianki... Nieprawdaż że się do ciebie umizgają?...

— Ej! co sobie tam pani żartuje, ja doprawdy zmartwiona...

— A ja znowu bardzo się cieszę, bo jutro... ale... idź się też spytaj ekonoma czy Icek arędarz powrócił?...

Teklusia wyszła. Pani G. poprawiała jeszcze czas jakiś rozkład swoich świecidełek, przedstawiała umyślnie tak wszystko aby się wydawało od niechcenia, i siadła na sofie przypatrzeć się swojemu dziełu. Po chwili wyrzekła sama do siebie: (bo trzeba wiedzieć że damy elegantki mają zwyczaj rozmawiać same z sobą; czyto poprawiając przed zwierciadłem swój ubiór, czy też robiąc jakieś nowe odmiany w umeblowaniu pokoju, zwyczaj wyborny, który powinienby wejść więcej w użycie u tych, którzy lubią dużo mówić, zdawałoby się im iż salon napęczniony słuchaczami, a przez te niewinną iluzję, możeby nie jednym ulżyło się uszom) już wszystko ładnie, porządnie... ale brak jeszcze, brak wielki... nie ma na kwiaty pięknej wazy. Kryształowa, lub porcelanowa byłaby mi koniecznie potrzebna... jednak marmurowa w lepszym guście, a zatem, potrzebniejsza. Gdyby można dostać z białego marmuru imitację wazy warwickiej. *) Ach! co za śliczna nowość!... prawdziwe rokoko. Przed dwoma tysiącami lat takąż robili... może także do salonu jakiej damy greckiej lub rzymskiej?... Nie wielką, *en petit* w miniaturce. Tobo niewiele kosztowało... a wiele zrobiło zazdrości!... A potem klosza... klosza trzeba koniecznie nowego na stolik. Ten bron-

*) Waza warwicka nosi nazwisko teraźniejszego jej posiadacza hrabiego Warwick. To piękne dzieło sztuki wykopane pod zwaliskami willi cesarza Adriana w Tiwoli we Włoszech, ma być robione przez sławnego greckiego artystę Lisipusa z Syjonu, który żył za czasów Alexandra wielkiego 330 lat przed n. Chrystusa.

zowy już całkiem nie woła... pewnie ma zapruszone lub zardzewiałe serce... Ah fe!... zapruszone serce!... Onegdaj trzy razy dzwoniłam na Teklusie, nieprzyzła. Przecież nie przez krnąbrność bo to dobra dziewczyna, choć trochę flutka. Dzwoniłam jak na gwałt; wyekskuzowała się że nie słyszała, że nie a nie nie słyszała, oczywiście, to wada klosza. Stary, dźwięk ma zepsuty, niedonośny. Kupić szklanny, już też co to, to tanie będzie i dobre... bo teraz takich używają... przeudowny, wnet się stłucze... Ah, bo też prawda że co trwa wiecznie, wiecznie nudzi. Tak szklanny... ale ze złotem sercem z ładnem zgrabnem uszkiem. Ach! Icku, Icku! przyjeżdżaj prędzej!...

— Za jakimże to Ickiem tak tęsknisz?... rzekł śmiejąc się mąż nadchodzący... Dzięki bogu! że to nieromansowe imię niemoże wzbudzić podejrzenia, bo przyznam ci się iż słysząc że rozmawiasz głośno stanąłem podedrzwiami, i usłyszałem nie bez niespokojności, te słowa: »Co wiecznie trwa, wiecznie nudzi.« To ja ją pewnie już nudzę... pomyślałem... a potem... ze złotem sercem z ładnem zgrabnem uszkiem... Ach, któż to taki?... zgrzytnąłem. I gdyby mnie było wezwanie Icka nieuspokoilo, bylibyśmy w tej chwili odprawiali jedną z tych czułych scen małżeńskich, którą tak często małżonkowie odgrywają pomiędzy sobą pod tytułem zazdrości...

— Podziękujże mi zato że masz tak wierną żonę która tylko do Icków wdycha i niepsuje ci żółci. Ale gdybyś wiedział co ja się namartwię!... jak się to długo ten rok wleczę; a tu takie wszystko dawne, nieświeże, cebrzyckie zażółknione...

— To każ je wyparzyć moja luba... I masła świeżego dostać można, chociaż zima; prawdziwie niema się czego martwić; ale to dowodzi żeś dobra gospodyni.

— I, że ty zawsze tylko o dobrem jedzeniu myślisz. Ktoż znowu o maśle mówi?... byłoby się czem kłopotać!... przecież te troski należą do mojej klucznicy. Ja mówię o cebrzyckach kryształowych na surową śmietankę, które już ze starości pożółkły, trzeba by kupić nowe.

— Aha... to o to rzecz idzie. Ale wierz mi że jak dobra śmietanka to i z tych jeszcze smaczna.

— Że wy też to mężczyźni o niczem potrzebniejszym niemyślicie tylko aby dobrze zjeść...

— A wy kobiety aby tylko siebie i swoje salony stroić...

— Niechże wreszcie już i tak będzie, że te dwa gusta są przeważną cechą w płci obojej, zezwalam na to, widzisz żem nie sprzeczną. Dawniej jednak wygodniej dla nas było kiedy Polacy więcej pili jak

jedli. Gniewa mnie to niesłuchanie. Już nawet i do salonów to »kochen« zaczyna wchodzić.

— A »kocham« wychodzić..... a to fatalna byłaby zamiana.

— Ty zawsze żartujesz... a ja się doprawdy gniewam. Ta nieznosna jakaś tam Kokoszyńska na wieczorze u pani D. pół godziny prawiła o jakimś melszpajzie z kartofli. Czy nie dosyć że i o tem trzeba czasem w domu pomyśleć, że trzeba jeść... lecz żeby też jeszcze taką przesycającą rozmową się bawić!... a to też już zanadto.

— Przyznaję ci zupełną słusność.

— Otoż kiedy już zaczynasz być grzecznym, przyznajże i to, że z nowego, eleganckiego naczynia, daleko smaczniejsze mleko będzie, jak śmietanka ze starego.

— Co tego to nieprzyznam.

— Jak chcesz... kiedyś taki uparty. Wreszcie możemy sobie oboje dogodzić i mieć co które lubi.

— Naprzykład... ty ze złotem sercem, z małym uszkiem... a ja...

— Nie kończ proszę cię, bo wiem że znowu co takiego powiesz, że mnie przyprowadzisz do gniewu albo zazdrości. Lepiej powiedz mi kiedy Icek przyjedzie.

— Na coż to tego Icka tak wyglądasz?...

— Czyś zapomniał że rok jego arędy minął, ma ci złożyć nową ratę na rok następujący i moje trzydzieści dukatów porękawicznego.

— A co teraz to zupełnie pojąłem nie zwykłe utęsknienie za Ickiem. Ale moja luba... niewiem jakto z nami będzie, a osobiwie z twojem porękawicznym. Ojciec Mathew sążnistemi kroki dąży do nas z Irlandii... wszystkich arędarzy łapie za brody i za nasze kieszenie.

— Co, co?... Czyżby to głupstwo już i do nas dostać się miało?... Biedny chłopiec niepije kawy, ani herbaty, żeby też jeszcze nie miał wypić sobie kieliszczyny wódki?... A to prawdziwe uciemienie, barbarzyństwo!...

— Ja sędzę że to nie jest barbarzyństwo, lecz owszem postęp cywilizacji... a chętne przyłożenie się do rozszerzenia tego towarzystwa jest szlachetną bezinteresownością wyższego umysłu w wyższej klasie... Może być iż wstrzemięźliwość od trunków będzie istotniejszym i łatwiejszym sposobem do polepszenia bytu wieśniaków, jak wszystkie dotąd zamierzane środki.

— Przypomnisz sobie jednak jak pan W. był temu przeciwny. Mówił iż z tego mogą dla chopstwa wielkie wypaść kłęski: zuchwalstwo z dobrego mienia, lenistwo, a nawet epidemia... bo czemże chłopiec w

czasie słotnym oddali od siebie zaraźliwe powietrza wyziewy jeżeli nienapije się wódki?...

— Albo też; czem go łatwiej nie wciągnie w siebie jak napiciem się jej, gdy rozpalone wnętrzości mało pokarmu przyjmując stają się więcej usposobione do podlegania wpływom powietrza. Nie można się dziwić panu W* iż z podobnem odzywa się zdaniem.. propinacja stanowiła większą część dochodów jego wioski... trzeba więc wielkiej rezygnacji aby znieść cios tak nagły bez szemrania. Dla niego towarzystwo wstrzemięźliwości więcej szkody przyniesie jak szarańcza lub pożar; bo nie jednoroczny lecz kilkoletni uszczerbek w mieniu zostawi. Na domiar biedy, kiedy zniszczonego szarańczą, ogniem lub wodą, żałując, tu nawet zamiast pożałowania, uśmiechają się na wszelkie egoistyczne argumenta. A tu darmo!... ego żyć musi, i to nawet w tonie w którym żył pierwiej. Susz sobie głowę na nowo; wypędzaj węże parowe z gorzelni które niedawno wprowadziłeś... i rój tysiące nowych kusicieli po twoim mózgu, abyś z drzewa wszechwiedzy uszczknął sobie złote jabłko do kieszeni.

— Ale proszę cię, że też to inne innowacje zagraniczne, nie wchodzą do nas tak łatwo, jak wchodzi wstrzemięźliwość od wódki. Rzecz tak pozioma, niska, tycząca się tak niskiej klasy. Bo ktoż też wódkę pije i myśli o niej?... Czemu to u nas niepomyślnie ażeby wyrabiano w kraju prześliczne malińskie korunki, materie lugduńskie, szale indyjskie, a coż dopiero mówić o użytecznych nowszych wynalazkach. Czy też kto u nas widział axamitne korunki wynalazku pana Riou?... ja przynajmniej niewidziałam dotąd, chociaż o nich tak dawno czytamy w dziennikach mód... To do nie uwierzenia. A jak to gniewa żeby nawet nie wiedzieć co insi mają. Ledwie że tam gdzieś pomyślano o chłopach, o wódce już i tu zaraz o tem myśla. Gdyby to jeszcze istotnie tak im źle było jak się napiją, toby mi ich prawdziwie żal było, ale oni tacy weseli jak się upiją, tak śpiewają!...

— O tak! śpiewają!... a ten śpiew bezrozumny... smętny czy bezwstydnym, coż wyciska z ich piersi?... wódka, wódka, którą zalewają żal, rozpacz... tłoczą się nią w większą nędzę lub występki. Wódka to ich lekarstwo na smutek, to podnieta ich szczęścia. Wdzięk kiedy szczęście śmiejące się w domu obłąkanych?...

— Ty bo czasem masz okropny sposób wystawiania rzeczy, które mi się zabawne lub zwyczajne tylko wydawały. Ten ojciec Mathew zaczyna mnie interesować; powiedz mi jak on wygląda?...

Pan G* który znał romantyczne nieco usposobienie swojej żony rzekł uśmiechnawszy się nieznacznie:

— Ojciec Mathew tyle jest poważany i szanowny w Irlandii ile niegdyś był w górach szkockich Ossian... Wystaw sobie jak to wspaniały widok być musi. Kapłan z krzyżem w ręku stojący na wzgórzu lub na skale... około niego lud zgromadzony wykonywa przysięgę...

— To lud sąsiedni Szkocii... którą tak lubię, z jej Ossianem, bardami, Malwiną... To prawdziwie wspaniały musi być widok. Lubię ojca Mathew.

— Lubisz go?... Gdyby ci nawet porękawiczne odebrał?...

— Porękawiczne?... A to jakim sposobem?... Wszak ón tu nieprzyjdzie. A to co się z ambon mówili to wcale tak pięknie wyglądać nie będzie... Przestańmy o tem mówić na teraz, a wróćmy się do naszych interesów. Jak ci już wspomniałam mam wiele sprawunków robić, tych bagatelnych, na które przeznaczyłeś mi porękawiczne. Jeżeli jutro Icek przyjedzie, po jutrze, jadę do...

— Ale bo teraz mówiąc o porękawicznym trzeba koniecznie i o ojcu Mathew wspominać. Towarzystwo wstrzemięźliwości, wstrzyma i nas od wielu rzeczy, bo przyniesie znaczny ubytek w dochodach. Jednak mimo szkody którą ponoszę, niemogę zaprzeczyć iż to uczyni dobry wpływ na moralność i mienie wielu ludzi.

Dokończenie nastąpi.

R o m a n c a

o wzięciu Alhamy. *)

Cwałem pędził Maurów xiąże
Ulicami, wzdłuż Grenady,
Od elwirskiej pędził bramy
Aż do bramy Biwarambli.

Żal mi, żal Alhamy!

Listy doszły go przez gońca
O zdobyciu twierdz Alhamy,
Gniewny, w ogień cisnął listy,
A łeb uciął postaćowi.

Żal mi, żal Alhamy!

Z grzbietu muła co go nosił,
Król się przesiadł na rumaka,
Pędzi w górę Zakatinem
Do Alhambry zamku wpada

Żal mi, żal Alhamy!

*) Najdawniejsza romanca maurytańska, najpewniej przełożona z arabskiego. Alhama najmocniejsza twierdza maurytańska w Grenadzie, była w roku 1490 przez chrześcijan, którzy przedarli się wąwozem Zafaraya, po długim oporze zdobytą, przyczem ogromną rzeź sprawiono w zarodku. Gdy Ferdynand katolicki zdobył potem Grenadę, śpiewanie tej romanzy zakazane było najsurowiej, ponieważ się obawiano jakiego buntu między Maurami, tak miała na nich działać potężnie.

Gdy w Alhambry grodzie staną,
Nagłym ozwał się rozkazem:
Niechaj zagrzmia srebrne trąby,
I wojenne zagrzmia rogi.

Żal mi, żal Alhamy!

W głuche kotły niechaj biją
By co żywe za broń brało,
By słyszeli Maury moje
Wszyscy z Węgi i Grenady:

Żal mi, żal Alhamy!

Gdy Maurowie postyszeli,
Głos co na hój ich zwoływał,
Po jednemu po dwóch po trzech
Do gromady się zbierali:

Żal mi, żal Alhamy.

I Maur jeden mówił stary,
W oczy mówił tak królówi:
Czemu królu nas zwołujesz
I szykujesz w zbrojne hufy?

Żal mi, żal Alhamy!

»Zwołałem was drużbo moja
By żałosną wieść objawić,
Jako zdrajcy chrześciance
Wypędzili nas z Alhamy.«

Żal mi, żal Alhamy!

Na to rzeknie mu Alfaki
Jakiś stary siwobrody:
Dobrze ci tak dobrze królu,
Dobrze ci tak za twe sprawy.

Żal mi, żal Alhamy!

Wyryzałeś Benceragów,
Benceragów kwiat Grenady,
I z Korduby onej pysznej.
Cudze wojsko w dom przyjałeś.

Żal mi, żal Alhamy!

Królu, za to cięższa w dwoje
Przyjdzie na cię boża kara,
Koniec tobie, państwu twemu,
I Grenadzie samej koniec.

Żal mi, żal Alhamy!

Kiedy prawu gwałt zadany
Słuszny będzie nasz upadek
I królestwo grenadyjskie
I ty królu padniesz słusznie.

Żal mi, żal Alhamy!

Gdy król słyszał taką mowę
Wzrok zapalał mu iskrą;
Na zarzuty o słuszności
Odpowiada zarzutami:

Żal mi żal Alhamy.

Jako pan twój wiem że prawo
Niepozwała lżyć mi w oczy;
Tak wykrzynie król Grenady
I z wściekłości pianę toczy.

Żal mi, żal Alhamy!

O Alfaki, Maurze stary,
Z siwą brodą aż do pasa,
Król siepaczom brać cię każe
Powetujesz za Alhamę:

Żal mi, żal Alhamy!

Każe mieczem głowę strącić,
I na wieży zatknąć szczycie,
Za pokutę tobie, drugim
Za przestroję, aby drzeli

Żal mi, żal Alhamy!

»Wy rycerze, wierni męże,
Nieście słowa te ostatnie,
I królowi je powtórzcie
Że niwinnie gardło daje.

Żal mi, żal Alhamy!

Po Alhamy naszej stracie,
I mnie serce równie boli,
Król utracił jedno miasto,
Inni więcej utracili.

Żal mi, żal Alhamy!

Ojcom syny, żonom męże
Poginęli w krwawej rzezi,
Ów utracił co najdroższe,
Inny stracił cześć i imię.

Żal mi, żal Alhamy!

Mnie samemu córkę wzięto,
Najpiękniejszy kwiat tych krain,
Gdyby mogło sto sztuk złota
Wykupić ją, dałbym z duszy.

Żal mi, żal Alhamy!

Kiedy starzec tak przemawiał,
Z karku głowę mu odjęto,
I z rozkazu królewskiego
Na Alhambry szczyt zatknięto.

Żal mi, żal Alhamy!

Męże, żony, dzieci płaczą,
Po Alhamy ciężkiej stracie,
Płaczą wszystkie, wszystkie damy
Ile tylko ich w Grenadzie.

Żal mi, żal Alhamy!

Na ulicach, na balkonach,
Wszędy jeśli się rozchodzą,
Sam król nawet, by niewiasta,
Straconego płacze miasta.

Żal mi, żal Alhamy!

ĆWIERĆ GĘSI.

SZCIEC OBYCZAJOWY.

Dokończenie.

VI.

Brakuje nam jeszcze obrazu Hilarego. Hilary był to człowiek wielce szanownego cechu lichwiarskiego. Lichwiarze, jak wiadomo są tak odrębnym stwo-

rzeniem w postaci człowieczej, że możnaby ich do indywiduów zoografią objętych policzyć; te oczy małe zapadłe, iskrzące, nos ostrokątny, wzrok którym przebiega cię to stworzenie, najprzód wpadający na miejsce, na których noszą się kosztowności, dalej na odzież, na końcu na oblicze, jakoby szukając skali, podług której ma mierzyć wartość przed sobą będącego; ow żołądek bezdenny na jadło i napój cudzy, na wzajem tak mały jak ucho od igły najszczuplejszego kaska własnego chleba, ów instynkt hieny w wynajdywaniu swoich ofiar pomiędzy lekkomyślnymi, lub dobrodusznymi, są cechy zupełnie odrębne od zwyczajnych ludzi. Lichwiarza umysł zwykle jest tak szczelnie w czaszce zamknięty, jak fanty w jego skrzyni; a jednak spoliuje on na swój pożytek istoty mające prawo, lub też pretensję do rozumu. Godzien uwagi jest sposób jakim lichwiarz zastawia swe sici. Upatrzywszy zdobycz, kręci się on koło niej nieustannie, jak bąk nad spokojnym koniem, wgłębia się w stosunki domowe, wdziera w zaufanie, oświadcza z przyjaźnią bezinteresowną, z chęcią uczynienia wszelkiej możliwej przysługi; upatrując niezmordowanie owej chwili, kiedy potrzebujesz jego pomocy, wtedy znika, rozpuszczając po cechu głośny okrzyk twego upadku, tamuje wszelką sposobność ratowania; zmusza cię do krążenia koło siebie, jak on pierwwej krążył. Nareszcie niby, od ciebie zmuszony, niby ubłagany, niby oszukany z ciężkiem westchnieniem rzuca ci kasek z ukrytą wędką, z której bez szwanków bolesnych zdjąć się nie zdołasz; to jest główne polowanie, nieprzejęzonych jeszcze zdobyczą; później syci plonu, spoczywają, spokojnie siedząc jak sumy z otwartą paszczą, w którą ryby same idą. Wyssawszy krew z obranych ofiar, przemieniwszy je w upiory, mają w nich naganiaczów nowych ofiar; i tak następnie kształcą się coraz obszerniejsze koła panowania lichwiarza, a on jak krzyżowy pajak na szeroko rozsnutej tkance więzi niebaczne muchy, co konania brzękiem przywabiają inne, dawniej swobodnego lotu, współtowarzyski. Opisawszy ogólnie ogólną cechę rodzajową, przystąpmy do pana Hilarego.

Pan Hilary był to geniusz spekulacyjny z urodzenia, niemowlęciem prawie będąc już z starszą siostrą handlował codziennem śniadaniem, kaszą warzoną na wodzie. Pod pozorem, że gorącego jeść nie może, naznaczał wysokość potrawy w talerzu, potem oddzielał swoją połowę, zatrzymując ją łyżką; w czasie gdy siostra jadła, dokładał gąszczu na swoją stronę do dawnej wysokości, tak, że dziewczynie zwykle dostawała się juszka, jemu krupy; jednak zawsze skarżył się z płaczem przed matką że był oszukany: a dobra

mama na zadośćuczynienie ulubieńcowi obdarzyła córkę klapsem, jednak bezskutecznie, bo dziewczyna choć ukarana i głodna, szczęśliwa że była mądrszą od brata, niezaniechała codziennego działu. W szkołach jeszcze żakiem mieniał z spółuczniami pukawki, postrach żydów i przekupek, za xiążki i scyzoryki. Sikory zaś i szczygły swego łowu za gołębie, a częstokroć srebrne łyżki i tympodobne drobnostki. Następnie pożyczał zamożniejszym kolegom mianowicie w zapusty, pieniądze, biorąc niby za wynalezienie wierzyciela, jako biedak w podarunku odzież, dywany, nawet stare buty, słowem wszelkie ruchomości, bez których mógł się pacjent obejść; zawsze krzywdzony jak na owej kaszy dorobił się biedak kilku tysięcy, ale że los igraszki lubi stroić, i nasz Hilary dwa razy w życiu, był jego ofiarą, raz zakochawszy się, dla przypodobania swojemu bóstwu, niekazał podkuć calowemmi podkówkami obcasów, a gwoździemi podeszew, zdarł więc prędzej jak zwykle buty; niewidząc żadnego względu na swoje koperczaki, zaniechał miłość zaprzysięgając wieczną nienawiść kobietom. Drugi raz (co szatan nie może) wyczytawszy w jakiejś gazecie ile Byron, Walter Scot, Hugo, Skrybe i tym podobni, za swoje dzieła ryczałtem otrzymali, obrachowawszy, że dwadzieścia lat spekulacji posiadanym kapitałem niewyrówna ich korzyści, postanowił sobie zostać uczonym i sławnym, czytał bez braku co schwytał, pisał bez końca; przepędziwszy w tej gorączce dwa lata, upamiętał się porachowawszy, że tylko 50 od sta miał rocznie procentu, a prac literackich jego nieumiano cenić, zarzucił więc nauki, uznając pisarzów za szarlatanów, a dzieła za wierutne głupstwa; jednak czas tak marnie stracony, przyniósł mu niejakie korzyści, mógł bez przestanku i dobę rozprawić, szpikując rzadkimi lub sławnymi nazwiskami swoją mowę. Napoleon, Mammut, Kant, Azot jak po żelaznej kolei pędzili za sobą, dopuki przednim stała nie próżna szklanka, lub puszka z tytoniem odwiedzonego słuchacza. Huffeland także niepospolitą wyświadczył mu przysługę, dowodząc że chcąc długo żyć, trzeba żyć regularnie. Hilary niesłuchanie bał się znajomości z nieboszczykiem pradziadkiem. Przyjął więc kucharkę i najął na pierwszém piętrze dwa pokoje z kuchnią. W pierwszym przyjmował gości, w drugim umieścić łoża, kilkanaście skrzyń i szaf warownie zamkniętych i ogromną szkatułę, nad głową zawiesił kilka par pistoletów, od dwudziestu lat nabitych. Czystość wszędzie panująca, niebyła winą Hilarego, lecz zasługą Marianny gospodyni i kucharki jego. Onato uważając się za panią wszystkiego, zachowywała ścisły porządek. Pistolety tylko niemilosiernie zardze-

wiale były, bo tych bała się gospodyni ruszyć. Dwadzieścia lat niezachwiane zaufanie, zgoda, a nawet przywiązanie panowało pomiędzy panem i sługą, gdy swawolna miłość zaplątawszy się jakoś w wąsy Macieka, ugodziła w serce grubopłaską Mariannę. Oczywiście byłato najściślejsza tajemnica dla Hilarego. Pewny jej wierności, wydziwić się nie mógł, że waga i miara wiktualów naraz zmniejszyła się, okazując się w potwornokarłej postaci, na jego półmiskach. Dalipan Marysiu, źle będzie, przemówił Maciek, jedną ręką odstawiając rynekę, a drugą wycierając słuszczone wąsy. Nie masz co zastawić? — Ach! nie mam! ostatnie korale i chustkę wzięłam na oddanie tych dziesięciu ryńskich, co panu zgubiłeś.

— Ba! człowiek chodzi po bożej ziemi, a przypadki po człowieku; chyba daj co pańskiego.

— Niech bóg broni! Ja dwadzieścia lat służyła, wzdręgnęła się Marianna.

— Widziszbo kochanko, i ujął ją za szyję — pan mój strasznie zły, jeśli szkody nie zapłacę, niedość że mnie ukarze, ale każe odesłać do Pacykowa z kąd rodem jestem.

— Dalekoż to?

— Byłaś w Kołomyi?

— Ja za rogatkami nigdy nie była.

— Otoż widzisz do Kołomyi mamy sto mil, a z Kołomyi do Przeworska drugie sto, z Przeworska do Śniatyna ośmdziesiąt a do domu jeszcze czterdzieści i sześć, to przeszło trzysta mil —

— Aj! aj! trzysta mil.

— Tak, tak, przeszło trzysta; wtedy już po naszym ożenieniu.

— To pięć ryńskich potrzeba.

— Pięć ale srebrem, wykrzyknął Maciek, widząc już gotowość Maryny — chodźmy do pańskiego pokoju a strasząc trzystomilowem oddaleniem, przemógł jej sumienie.

Fanty pomimo zaufania pańskiego były zamknięte, tylko tabakiera złota osierocona śmiercią prawego właściciela, leżała na stole; otworzył ją Maciek, pociągając szczyptę, przemówił:

— O tę tabakierkę zastawię za pięć ryńskich.

— Pozna.

— Aj gdzie tam, zaklnij się, że wziął do kieszeni i zgubił; a jak miesięczną zasługę odbiorę, to wykupię i podrzucisz. Wahala się.

— No, bo za tydzień już będę w Pacykowie.

— A kiedy wykupisz?

— Wykupię, wykupię — no bądź zdrowa, bo już pan musiał do domu powrócić, i uściskawszy ją na pożegnanie wybiegł z tabakierą.

Ej, będzie bieda! westchnęła Marianna, ale przynajmniej o trzysta mil go nie poprowadzą i pięćdziesiąt nie dostanie. Hilary spotkawszy Hipolita drugi raz w sieni, słysząc szelest papieru i widząc pomieszczenie tegoż, powziął podejrzenie nieczystych zamiarów. Za najgłówniejszą rzecz uważał, obejrzeć swoje ruchomości. Zamki były nieruszone, drzwi wchodowe z wewnątrz zamknięte, gdyż zwykle przechodziło się przez kuchnię, gdzie stało łóże Marianny, zasłonięte dla przyzwoitości parawanem. Wszedłszy, spostrzegł natychmiast brak tabakieri. Wybiegając za Hipolitem zapytał nawiasem:

— Wychodziłaś gdzie teraz z kuchni?

— Tylko po wodę.

— Drzwi pewno nie zamknęłaś za sobą?

— Wszakto tak blisko. — A tabakierki już niema.

— Wszak jegomość wziął z sobą, jak mi się zdaje.

— Głupiaś! już skradziona, i wybiegł za Hipolitem.

Dalsza przygoda wiadoma.

— Czy ty niezamykasz drzwi jak wychodzisz z kuchni? rzekł Hilary, wracając po schwyтaniu naszego bogatyrę, złapałem złodzieja, co skradł tabakierkę.

— Chwała Bogu! ja już myślałam, że jegomość zgubił. —

Hipolit Nro I. musiał się wykazywać czasem, jak wieczór przepędził. Między dowodami załączył bilet od Heleny. Maciek sprzedający tabakierkę był przytrzymanym, rzecz cała wyjaśniła się. Zkompromitowana Helena dziękując niebu, że choć tak bolesnym sposobem ocaloną została, wyjechała z miasta wraz z mężem. Maciek przykładowie ukarany został. Hipolit Nr. II ani wygrał, ani przegrał zakład. Pan Hilary dalej spekulował. Marianna miejsce straciła.

— A Hipolit Nro. I?

— Uwolniony jako niewinny; od tego czasu gości niecierpi.

— A Józia?

— Ach jeszcze o Józie pytasz! — Dotąd bez czepka, buleczki sprzedaje, oczekując ziszczenia przepowiedni komara.

Amilkar Lelowski.

TEATR.

Do przyjemnych zjawisk na scenie naszej należy S a m p i e r o, pięcioaktowy dramat znanego ze swych utworów H a l m a, tłumaczony na polski przez jednego z literatów naszych. Główny pomysł tej sztuki, poświęcenie wszystkiego dla miłości ojczystego kraju, jest już sam w sobie tak piękny i wzniosły, iż słu-

chacz najsurowszy, staje się pobłażającym dla wad niektórych, jakie krytyk bezwzględny odkryłby zapewne. Sampiero ów bohater poświęcający wszystko: spokój, majątek, znaczenie, a w końcu i żonę, którą kochając zabija sam, byle się oczyścić z zarzutu zdrady, zrobionego mu przez współwyrzucińców; mąż którego godłem niezmiennem: Korsyka nade wszystko! czy to żegnając ziemię rodzinną, by na dalekie udać się tułactwo, czy to dając zbawienne rady ziomkom swoim, by na wygnaniu wierni byli sprawie Korsyki, czy okiem zapалу rzucając naprzód, przeczuwając przyszłość Korsyki, tyła różnemi a silnemi wrażeniami uderza w uczucia słuchaczy, iż staje się najinteresowniejszym, mimo tego, że autor bodaj czy nie naumyślnie starał się większą część interesu złożyć na Waninę, żonę Sampiera. Jakoż w ostatnim akcie dając w usta Waninie wymowne zarzuty, za wymowne, przy zupełnym prawie z drugiej strony braku walki uczuciowej w Szampierze jako mężu i jako obywatelu, chciał być autor wierniejszy podaniem historycznym, które bóg wie dla czego zniżają Sampiera do roli dowódcy stronnictwa; niżeli prawdziwie artystycznej, wedle której Sampiero raz pojęty przez autora jak bohater, nie powinien karleć w końcu. I w rzeczy samej, chociaż autor zdaje się być natchnionym wielkością przedmiotu, który go mimo własnej wiedzy unosi nad mierność cechującą dawniejsze twory jego; jednakże nieśmiały i często nieszczerem ujęciem onego, podobnym się wydaje do chłopięcia bawiącego się ze zbroją olbrzyma: to ją z jednej, to z drugiej podniesie strony, to kwiatkami obysypie, ale nie zdoła silną dłońią ująć i wznieść do góry ku podziwieniu wszystkich. Ułożenie intrygi jest słabe; perory bowiem jakimi Ombrano, uosobiona zdrada czyhająca na bohatera, przekonywa żonę jego, by przeciw woli mężowskiej oddała się w ręce Genui, są za błahe i nie przekonywające słuchaczy; a przecież tyle jest miejsc szczytnych przez się, apoteycznie obrobionych przez autora, iż interes nie stygnie do końca. Zakończenie nareszcie przedstawiające wyrzucińców Korsyki, przysięgających na trupie Waniny wierność Sampierowi i oswobodzenie Korsyki jest piękne, poetyczne, ale nie czyni zadość ani prawdziwie historycznej, wedle której Sampiero ginie od zdrady domownika, ani uczuciowej artystycznemu, które wymaga całości i zaokrąglenia, bez czego może być piękny obraz dramatyczny, ale nie dramat doskonały. Autor odcieniował

tak jaskrawemi barwami zdrady Ombrana i niewierności braci Waniny, którzy za siostrę mścić się przysięgają, iż gdy potem te dwa główne dramatu zarysy na bok odrzuca, a Wanina bez zemsty ginie, natężenia zaś nieludzkie zdradcy Ombrana pełzną na niczem, czuje się potrzeba, pójść po całość do dziejów, które nam pokazują braci Waniny walczących przeciw zabójcy siostry, a jego po długich walkach skaranego za morderstwo żony, skrytobójczym ciosem. Tłumaczenie jest piękne, i co się nie zawsze trafia u nas prawdziwie polskie, jakkolwiek przykro nas uderzały niektóre wyrazy wyszukane, między którymi jądro nazbyt często się powtarzało. Gra aktorów w rolach głównych zrobiła ogólnie efekt wielki; nam się tylko zdało, że dla braku czasu zapewne wszyscy prawie nie wyuczyli się ról swoich. Pan Smochowski (Sampiero) grał wybornie, bo zrozumiał i czuł rolę swoją, a jego umysłowe i moralne wykształcenie robi go zdolnym i godnym takich ról. Pani Aszpergerowa (Wanina) grała jak mogła najlepiej; były chęci dobre i rutyna, a jeżeli nic więcej nie było, to nie jej wina. Pan Rejmers (Ombrano) wypracował rolę swoją sumiennie, lecz nie zawsze strzegł się przysady. Pan Dawison jako jeden z braci Waniny, miał rolę niewielką, ale i w tej potrafił tyle umieścić gwałtownych zapalów i gwałtownej mimiki, że, wywołany został. Roli podrzędne prócz roli p. Nowakowskiego, były nieszczęśliwie obsadzone. Ścisk wsali był niewidzialny, a oklaski sówite.

Ogłoszenie przedpłaty.

Wedle przyrzeczenia w rozprawach moich danego wygotowałem Gramatykę języka polskiego, i do jej wydania wzywam pomocy ziomków.

Dzieło będzie zawierało około 30 arkuszy druku. Cena egzemplarza na papierze białym zwyczajnym 2 ZR. m. k., czyli: 8 Złpol. — Na welinowym 3 ZR., czyli: 12 Złpol.

Uważając na tak niską cenę, spodziewam się, ziomkowie, nieprzypiszą mi chęci samego zysku, i raczą nieodmówić tej małej pomocy, od której przyspieszenia i przyspieszenie druku zależy.

Po wydrukowaniu, egzemplarze będą złożone we wszystkich znaczniejszych księgarniach do odebrania.

Po zamknięciu przedpłaty, przedawać się będzie egzemplarz jeden na papierze zwyczajnym białym po 2 ZR. 30 kr. m. k., czyli: 10 Złpol. — na welinowym 4 ZR. czyli: 16 Złpol.

Łańcut 1845 roku.

Jan Nepomucen Deszkiewicz.